

PROGRAM NA LATA

Z ANDRZEJEM KACAŁĄ, W LATACH 1968–1983 WICEMINISTREM ROLNICTWA, SYGNATARIUSZEM POROZUMIENÍ RZESZOWSKO-USTRZYCKICH – ROZMAWIAJĄ JANUSZ BOROWIEC I BOGUSŁAW WÓJCIK

B.W. – Stał pan na czele komisji rządowej, która 1 lutego 1981 r. przybyła na rozmowy ze strajkującymi do Rzeszowa, a następnie do Ustrzyk Dolnych. Jak ocenia pan merytoryczne przygotowanie strajkujących do rozmów. Kto nimi kierował? Jaka była rola ekspertów w prowadzonych negocjacjach?

A.K. – Ludzie, których spotkałem i którzy zostali mi przedstawieni jako komitet strajkowy w Rzeszowie, znali się na rolnictwie. Oczywiście w różnym stopniu – była wśród nich np. córka bodajże profesora, który w Krakowie był „na urzędzie rolniczym”, ale byli też zwykli rolnicy, chłopci, którzy mieli gospodarstwa. Postulatów, mających stanowić podstawę do prowadzenia rozmów między komisją rządową a strajkującymi, było około dwudziestu, dość nieporadnie napisanych. Wydawało mi się, że powstawały pod naciskiem chwili lub też w strachu przed konsekwencjami, jakie mogą spotkać niektórych strajkujących czy piszących te postulaty. Jednym z najbardziej precyzyjnie sformułowanych był postulat zgłaszany jako pierwszy – żeby komisja rządowa zagwarantowała wszystkim uczestnikom strajku bezpieczeństwo. Chodziło zarówno o bezpieczeństwo osobiste (żeby nie zostali aresztowani, żeby nie prowadzono dochodzeń itd.), jak również rodzin, a nawet dobrych znajomych. Całe szczęście, że był ze mną przedstawiciel Prokuratury Generalnej; skontaktowałem się też telefonicznie z Jerzym Bafią, ówczesnym ministrem sprawiedliwości, i udzieliliśmy strajkującym takich gwarancji.

Przyjechałem i spotkałem się ze strajkującymi w lokalu, w którym odbywał się protest. Oprócz komitetu strajkowego było tam kilkuset uczestników protestu. Rozmowy trwały do 6 lutego, potem nastąpiła kilkudniowa przerwa. Nocą z 18 na 19 lutego odbyło się podpisanie porozumień rzeszowskich. Była w nich klauzula, że wchodzi w życie tylko w przypadku, gdy na ich podstawie zostanie podpisane porozumienie w Ustrzykach. Pojechalśmy – mówię pojechalśmy, dlatego że w drugim samochodzie jechał Lech Wałęsa ze swoimi ludźmi – do Ustrzyk. Po półtorej doby, również w nocy, podpisaliśmy porozumienie.

J.B. – Czy komisja rządowa dostawała jakieś *dossier* z SB lub materiały partyjne dotyczące strajkujących i ich postulatów?

A.K. – Nie dostaliśmy niczego takiego od SB, ani tam, ani tu – w Warszawie. Nie dostaliśmy żadnych wytycznych również od rządu. Wicepremier Mieczysław Rakowski (był przy tym chyba także minister Stanisław Ciosek) powiedział: no to jedź, mój drogi, tam jest strajk w Rzeszowie, to są sprawy rolnicze. Ty się na nich znasz, to próbuj je rozwiązać. To wszystko. Później dowiedziałem się z różnych źródeł, m.in. z protokołów Służby Bezpieczeństwa, że rzeszowska SB niechętnie patrzyła na tę komisję rządową z Warszawy, a na mnie w szczególności. Bardzo ułatwiało mi to przebieg tych rozmów, bo to, co wydawało mi się, że powinno być w rolnictwie zrealizowane albo przynajmniej zaplanowane, mogłem układać według swojej najlepszej wiedzy i doświadczenia. Nie musiałem kierować się żadnymi wytycznymi. Przepraszam, z wyjątkiem jednego – nie mogłem podpisać porozumień z Niezależnym Związkiem Zawodowym Rolników Indywidualnych „Solidarność”.



Fot. A. Urbonski, ze zbiorów J. Konkala

Komisja Rządowa podczas rozmów ze strajkującymi w Rzeszowie;
pierwszy z prawej Andrzej Kacała

J.B. – Czyli że nastawienie do tego postulatu strajkujących było jednak przez rząd jasno sprecyzowane?

A.K. – Absolutnie nie mogłem tego przekroczyć. A Józef Ślisz, Artur Balazs i cały komitet strajkowy bardzo na to naciskali. Niestety, na to nie mogłem się zgodzić. Osobiście nie przywiązywałem do tego większej wagi, bo wiedziałem, że wcześniej czy później to się będzie musiało tak ułożyć.

B.W. – Komisja rządowa w kwestii uznawanej za polityczną mówiła wyraźne „nie”, natomiast była gotowa zaakceptować wszystkie postulaty gospodarcze. Czy było tak istotnie?

A.K. – Z wyjątkiem tego formalnego zapisu, kto siedzi po drugiej stronie stołu – czy to jest już związek zawodowy rolników indywidualnych, czy to jest dopiero jakaś reprezentacja tego związku – wszystkie inne tematy były w tym porozumieniu sformułowane po myśli strajkujących. Były zredagowane bardziej precyzyjnie, inna była ich kolejność, bo starałem się jako porządnie je ułożyć. Muszę się pochwalić, że kiedy byłem na obchodach piętnastej rocznicy podpisania porozumień w Rzeszowie (był na nich wówczas również premier Jerzy Buzek), to w tamtejszych gazetach miałem – może nie wypada mi o tym mówić? – bardzo dobre notowania, lepsze aniżeli uczestnicy siedzący po drugiej stronie stołu, czyli w komitecie strajkowym. A to z uwagi na to, że ja praktycznie nie rozgrywałem tam żadnej sprawy politycznej. Chciałem ustawić porządnie sprawy rolnicze, układając je w porozumieniu rzeszowsko-ustrzyckim tak, by stworzyły całość zgodną z tym, jak sobie wówczas wyobrażałem polskie rolnictwo.

J.B. – Ze względu na to, że komisja rządowa była taka ugodowa w sferze gospodarzej, pojawiają się komentarze, że rząd grał na zwłokę. Chciał jedynie chwilowo załagodzić „kwestię chłopską”, by zażegnać strajki wśród rolników. Czy tego typu sugestie są słuszne?

A.K. – Nie. Nie wiem, czego rząd chciał – czy chciał być bardziej, czy mniej ugodowy jeśli chodzi o rolnictwo, czyli tę dziedzinę gospodarki, która produkowała żywność. Powiedziałem już, że nie dostałem żadnych dyspozycji. Działalem zgodnie z tym, jak wyobrażałem sobie zorganizowanie rolnictwa dla uzyskania dobrych wyników, zarówno dla producentów – a więc rolników indywidualnych, jak i dla społeczeństwa. Później towarzysze sowieccy zarzucili Wojciechowi Jaruzelskiemu, że przewodniczący komisji rządowej w Rzeszowie był nie tyle ugodowy, ile zbyt to troszczył o sprawy polskiego rolnictwa. A ugodowy to ja nie byłem. Jak wydawało mi się, że coś jest nie tak w tych postulatach strajkujących, to się dotąd kłóciłem, aż zostało to zmodyfikowane i sformułowane tak, jak moim zdaniem być powinno.

B.W. – Trudno nie odnieść wrażenia, że postulaty strajkujących w pierwszej wersji były dosyć chaotyczne.

A.K. – Jeśli porównać papier, na którym były spisane postulaty na początku, jak zaczęliśmy rozmowy, z tym, co podpisaliśmy rzeczywiście z 18 na 19 lutego, to są to dwa różne dokumenty. Tam były zapisane tylko pewne myśli, nawet nie wszystkie. A tutaj jest to wszystko porządnie ustawione. Stworzony został pewien plan, który wystarczył na parę lat dobrego funkcjonowania rolnictwa. Na przykład osobiście dobijałem się – zarówno w rządzie, jak i w Biurze Politycznym – o to, by zaimportować urządzenia do zbierania kamieni z pól na terenach rolniczych tzw. ściany wschodniej. Mówiłem o tym, żeby robić gospodarstwa specjalistyczne i gospodarstwa, które będą miały co najmniej piętnaście, dwadzieścia krów dojnych, bo dopiero w takim układzie można jakoś żyć. Byłem zwolennikiem tworzenia „pasów mlecznych” wokół dużych aglomeracji, takich jak Warszawa czy Poznań. Trzymanie jednej czy dwóch krów na postronku i pasienie ich na miedzy prowadziło donikąd. Toczyły się również rozmowy dotyczące scalania gruntów. Miałem w związku z tym taką zabawną historię – przyszedł do mnie do Ministerstwa Rolnictwa Jan Kułaj, już jako przewodniczący „Solidarności Wiejskiej”, z pretensją, że w sali obok strajkują chłopi, bo przeprowadzono u nich scalenie gruntów. Argumentowali, że jak przedtem ktoś miał ziemię w piętnastu czy dziesięciu kawałkach gruntu, to teraz co prawda ma w dwóch albo nawet w jednym, ale to jest gorsza ziemia itd. Mówię: panie Kułaj, niech się pan nie śpieszy, bo jedzie druga grupa z tej samej wsi, zobaczymy, co oni powiedzą. Przyjechała ta druga grupa – zajęli kolejną salę w ministerstwie, również przywieźli sobie jedzenie, zastrajkowali. Powiedzieli, że chcą utrzymania decyzji dotyczącej scalenia gruntów. Jeżeli minister rolnictwa podejmie inną decyzję, to oni stąd w ogóle nie wyjdą. Powiedziałem: panie Kułaj, niech pan idzie do jednych, potem do drugich i niech pan wróci do mnie i powie, jaką pan podjął decyzję. Ja podejmę taką samą, z jednym warunkiem – powiem, że to zrobiłem w oparciu o pana sugestie. Powiedział: zgoda. Poszedł do jednych, poszedł do drugich i już do mnie więcej nie wrócił, gdzieś tam wyszedł i zniknął. Decyzję musiałem podejmować sam.

J.B. – W jednej z wypowiedzi dla Polskiego Radia Rzeszów – już po podpisaniu porozumień – powiedział pan, że lepiej by się czuł, gdyby je już wprowadzano w życie



Fot. A. Urbański, ze zbiorów J. Konkela

Podpisanie porozumień rzeszowskich 18 lutego 1981 r.

i że to jest program na lata. Pora więc zapytać o pomysł utworzenia Komisji ds. Realizacji Porozumień Rzeszowsko-Ustrzyckich i jej działalność.

A.K. – Jak już wszystko zmierzało do podpisania i tylko trzeba było przepisać te postulaty i złożyć pod nimi podpisy, zapytałem – panowie, ale co dalej? Podpiszemy porozumienie, włoży się je w archiwach w odpowiednie miejsce i koniec. A przecież mnie chodziło o to, żeby to realizować, bo włożyłem w to wiele pracy. Żeby to porządnie zrobić, siedzieliśmy nad tym i w nocy, i w dzień. Chciałem, aby to wszystko wprowadzić w rolnictwie. – To będziemy jakoś tego pilnować. – Jak pilnować? Wiedziałem, że musi powstać ciało, które będzie zajmowało się tą sprawą i pilnowało realizacji postanowień. Zapadła decyzja o utworzeniu specjalnej

komisji. Już nie pamiętam, jaki był skład komisji, ale pamiętam, że przyszedł Józef Ślisz i Artur Balazs i umówiliśmy się, że raz na dwa tygodnie spotykamy się u mnie. Patrząc sobie w oczy, podejmujemy decyzje, które pozwalają realizować zapisane w porozumieniu postulaty. Tak działała ta komisja. Co dwa tygodnie spotykaliśmy się, co dwa tygodnie dawaliśmy sobie wciry i – raz więcej, raz mniej – popychaliśmy te porozumienia do przodu. Opinia była taka, że jest to jedno z tych nielicznych porozumień, które naprawdę działa. Może nie jest realizowane punkt po punkcie, może z przeskokami, ale jednak. A trzeba pamiętać, że podpisywanych porozumień było wtedy do licha i trochę – w przemyśle, zdrowiu, oświacie...

B.W – Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia pan tamte wydarzenia? Wspomniał pan na początku naszej rozmowy, że chłopci właściwie stracili. Czy porozumienia w Ustrzykach Dolnych i Rzeszowie stworzyły podstawę dla późniejszych reform?

A.K. – Zaczynijmy od pozytywów, które obejmują nie tylko chłopów, ale i całe społeczeństwo polskie. Co zyskali chłopci? Produkcję i podaż różnego rodzaju sprzętu, środków produkcji i środków niezbędnych dla rolnictwa. Trzeba, oczywiście, mieć na to wszystko pieniądze, ale generalnie jest dostęp do środków produkcji. Jest również pewność, zagwarantowałem to w pierwszym punkcie tego porozumienia, posiadania gospodarstwa rolnego na własność. (Chociaż obecnie, jak rolnik się zadłuży, to przestanie być właścicielem najpierw krowy, a potem całego gospodarstwa, w zależności od tego, jaką ma wartość produkcji w stosunku do nakładów i kosztów). A jakie są negatywy? Po pierwsze, rolnik i producent nie mają żadnej gwarancji, że ich produkcja zostanie kupiona, a przecież oni z tego żyją. Dawniej była kontraktacja. Pamiętam okresy, kiedy kontraktujący po odbiór produktów zgadzali się dojeżdżać ze swoją wagą i ekspertami nawet na podwórko gospodarstwa rolnego. Oczywiście, były przy tym oszustwa, z każdej zresztą strony, ale teraz też nie święci to robią. Po drugie, nie ma praktycznie żadnej gwarancji, że pieniądze, które rolnik pożyczycy, biorąc kredyt, zostaną dobrze ulokowane. Brakuje doradców, którzy podpowiadałoby, jak obracać tymi środkami w gospodarstwie. To są dwa powody, które decydują o tym, że gospodarstwa rolne nie prosperują tak, jak mogłyby. Dam przykład. Kupiłem od rolnika działkę, 33 km od Warszawy. Przejeżdżam do niej przez wieś. Dawniej, jak jechałem o szóstej rano, to na tej wsi był ruch – krowom dawało się jeść, bańki na mleko były już umyte, na podwórkach ruch. Teraz jadę przed ósmą rano i wieś śpi. Tak to wygląda.

J.B. – Czy wiedział pan o nieprawidłowościach związanych z funkcjonowaniem ośrodka URM w Arłamowie?

A.K. – Szczegółów nie znałem, ale o działalności płk. Kazimierza Doskoczyńskiego [szefa ośrodka rządowego w Arłamowie, zwanego „wielkim łowczym PRL” – red.] wiedziałem sporo. Bardzo dużo opowiadano mi o nim, gdy jeździłem do strajkujących w Ustrzykach. Muszę powiedzieć, że władza paskudnie sobie poczynała, nie tylko ten pułkownik. On był promotorem tego całego interesu. Urządzał polowania, więc decydował o tym, czy wysiedlić kolejną wioskę, bo np. chłopski inwentarz wchodzi mu na tereny, na które były spędzane dziki lub jelenie itd. Zakładam, że jeśli w tych opowiadaniach strajkujących była tylko połowa prawdy, to i tak na tym terenie było paskudnie. Najgorsze w tym wszystkim było to, że on miał duży posłuch w Służbie Bezpieczeństwa zarówno w Rzeszowie, jak i chyba w Warszawie. Miał duży posłuch również u Piotra Jaroszewicza, który lubił polować.